Gabo — purpur

**Od autora:** No dawno mnie tu nie było, pisząc te słowa... Właściwie jest to mój ulubiony moment, gdyż teraz już wszystko jest i przedemną i za mną. W jednym momencie!

Tak, wiem, okrutnie długie :) Ale zaręczam, że dla wytrwałych czytelników, na końcu, pojawią się ciasteczka...

No ale nie przedłużając...

Przed Państwem ( ach, jakże chciałem to napisać :) niezwykłe opowiadanie o zupełnie zwykłych. Jest tu: miłość!, krew!, rajskie widoczki! i egzotyczne "stfory"! No dobra, jedno z powyższych jest, a reszta miała być, tak miała, no ale się spóźniła...

PS. Muszę się do czegoś przyznać... No niestety nie ma ciasteczek na końcu...

---

Gdyby zapytać statystycznego psa, jak postrzega swoich właścicieli?
Hmm, dają mi schronienie, opiekują się mną, dają jeść - muszą być bogami!
Gdy to samo pytanie zadamy kotu:
Hmm, dają mi schronienie, opiekują się mną, dają jeść - muszę być bogiem!
*Ukradzione z małej, zniszczonej książeczki pod tytułem:*
*Rozmówki ludzko - kocie.*
*Chodź tak naprawdę, książeczka ta traktuje tylko o Nich - o władcach wszechświata*.

*On tutaj gdzieś jest...* - kuśtykałem pomiędzy śpiącymi meblami. Czarno, że oko wykol, tylko chwilowe rozbłyski szalejącej za oknami burzy, sprawiały, że coś dało się dostrzec. Z początku stawiałem stopy delikatnie, jedynie muskałem podłogę, ale potem uświadomiłem sobie, że to przecież kot... On i tak usłyszy, niezależnie od moich prób pozostawania niewidzialnym, zresztą... Sto dwadzieścia kilo żywej, acz lekko przetrąconej wagi, nie przemknie niczym stepowa gazela... Koszula kleiła mi się do pleców, a tętno wygrywało szaleńczy rytm. Tylko potoki adrenaliny trzymały mnie w pionie, ale nawet one zdawały się powoli kończyć.

- Kici!, ki-ci, kiciiii... - ostatni wyraz przerodził się w gardłowe warknięcie, gdy tłumiona złość nie dała się utrzymać w ryzach. - Chodź do tatusia! Chodź ty... - Urwałem, gdyż słowa które miały paść, dość dosadnie wyrażały się o następstwach naszego spotkania. Doskonale wiem, że nie potrafiłby mnie zrozumieć, jednakże czułbym się nieswojo, wykrzykując na całe gardło swoje prawdziwe zamiary.

Wtedy też usłyszałem skrzypnięcie na piętrze. Poczułem, jak zapadki morderczego szału zatrzaskują się we mnie jedna za drugą.

- Jesteś mój, kiciuuusiuuu!

Stopnie pokonywałem po dwa, po trzy na raz. Czułem się jak czołg, który za chwilę wyjdzie na otwartą przestrzeń i wypali ze wszystkich swoich dział. Niemalże wyskoczyłem na drewniany parkiet i wtedy...

*Jest!*

Stał tam ten głupi kocur, a właściwie siedział, niedbale zerkając w moim kierunku.

*No kurwa bezczelny! Czy on się myje?*

To przeważyło szalę, zatankowana do pełna kula agresji wybuchła niczym konfetti za moimi oczami. Wykonałem dziki sus ku pewnej szarej kulce kłaczków i...

- Jeee-zuuu!

Leciałem... Ja leciałem.... Machałem bezwładnie rękami, a mój mózg z ogromną determinacją próbował ustalić, co się właściwie stało. Czekając na nieuniknione spotkanie z podłogą, bo nie podejrzewałem, aby pani grawitacja zamierzała mi to jakoś odpuścić, dostrzegłem go. Teraz przestał się myć, za to, mógłbym przysiąc, że dostrzegłem drwiący uśmieszek, tańczący tuż pod nastroszonym wąsem...

<u>Kilka dni wcześniej...</u>

- To wielka i niespodziewana strata. - Pani Niedermajer miała łzy w oczach. - Jeśli byś Michale czegoś potrzebował, to wiedz, że nasze drzwi stoją otworem. Niezależnie od pory dnia i nocy - zapraszamy!

Pan Niedermajer uścisnął moją dłoń, a drugą położył na moim ramieniu. Nie powiedział ani słowa, ale widać było, że również mocno to przeżył.

- Katarzyna była zawsze taka pełna życia... - Pani Niedermajer niemalże łkała.

- Chodź Julio. - Pan Niedermajer objął ją ramieniem. - Czas do domu.

- Pamiętaj Michale, zawsze...

- Dziękuję. Naprawdę dziękuję... - wystękałem.

Zatrzasnąłem dębowe drzwi i oparłem się o nie plecami. Czułem, jak napięcie rozsadza moje ciało. Trzy głębokie wdechy... i nogi ugięły się pode mną... upadłem na kolana... i wtedy - poczułem to! Gdzieś tam, głęboko w środku potoczyła się kulka; która łaskotała, która rosła, która pędziła poprzez poszczególne fragmenty ciała - niosąc ukojenie, niosąc spokój. To była ona! To była moja myśl, na którą tak bardzo czekałem, a nie chcąc jej spłoszyć, nie odważyłem się zaglądać w miejsce, w którym kiełkowała. Ale teraz...

*Udało się! Już po... Już po wszystkim.*

Zacząłem cicho chichotać. Początkowo powstrzymałem się, maskując usta dłonią. Ale po chwili nie mogłem już tego zastopować. Ryczałem na całe gardło. Gruby, rubaszny rechot odbijał się od ścian korytarza, przelatywał przez zastawioną brudnymi talerzami kuchnię i baraszkował na idealnie zaścielonym łóżku w sypialni. Potem nabrał mocy, nabrał rozpędu i wbiegł na piętro. A tam... był wolny! Ja byłem wolny - teraz i na zawsze! I na wieki, wieków, amen!

- Miauuuu...

Poderwałem się na równe nogi. W jednej chwili zniknęła cała wesołość, teraz jej miejsce zajęło przerażenie.

- Miauuuu....

- Aaa..., to ty! - Odetchnąłem z ulgą. - Głodnyś malutki? Chodź Gabo! Tatuś da ci jedzonko. - Wyciągnąłem rękę i chciałem pogłaskać go po tej małej główce. On się jednak odsunął.

- No chodźże... Dzisiaj świętujemy! Podwójna saszeta dla ciebie! Co o tym myślisz?

Gabo nie odpowiedział, tylko w ten swój dystyngowany sposób odwrócił się do mnie tyłem. Przeciągnął się i nieśpiesznym krokiem odszedł w ciemny koniec korytarza.

- W dupie cię mam! - zakrzyknąłem za nim. - Teraz jesteś tylko mój!

<u>Dalej wcześniej, ale już nie tak bardzo...</u>

Pierwsze "zdarzenie" wydawało się niewinne. Rozwaliło kompletnie mi dzień, nie powiem, ale nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Bądź co bądź, to mógł być jakiś dzieciak... Wprawdzie nie wiem, po co miałby wyciągać moje grabie, ustawiać je na podjeździe, tak abym mógł na nie najechać i w ten jeden, zupełnie nieprawdopodobny sposób, uszkodzić nie tylko tylną lampę, ale i koło i połowę błotnika. No normalnie ogrodniczy Armagedon dokonał się na moim samochodzie.

- No masz pan, kurna, szczęście! - Rechotał Wacław, dorodny przedstawiciel gatunku Mechanikowatych. Zgodnie z zasadami przyodziany był w kraciastą koszulę, która rozpaczliwie próbowała pozostać zapiętą na wysokości brzucha. Włosy zaczesane do tyłu, a twarz udekorowana przysadzistym wąsem. Całość zaś działała mi na nerwy... - Piękna robota! Chodź Maciek, zobacz, jak se pan piknie, auto wypatroszył... - teraz ryczał na cały warsztat.

Oczywiście, chwilę później, już stało z pięciu innych, którzy swoimi fachowymi podpowiedziami, starali się mnie uchronić przed inwazją nożyc do żywopłotu, czy też morderczej motyczki.

- I niech pan pamięta o szpadlu! Tylko się człowiek odwróci, a on już knuje, jak by tu wykopać dołek. Dokładnie w miejscu, gdzie pan codziennie stawiasz stopę. Podłe narzędzie! - Wacław brylował wśród utytłanej w smarze gawiedzi.

- Będę pamiętał - przytaknąłem kwaśno. - Pan mi powie, ile potrwa naprawa?

- Uuuuuu...

Moje zdanie włączyło instynkt myśliwski mechanika. Działa on na bardzo prostej zasadzie, mimo iż dokładnie wie, to będzie kręcić, jak norka w sałacie. A następnie kąsa, jak już omotana ofiara, nie ma siły tego dalej słuchać.

*No niech zgadnę, to bardzo nietypowa naprawa...*

- Wie pan, to bardzo nietypowa naprawa...

*No i warsztat zawalony...*

- Sam pan widzisz, nie ma gdzie igły wcisnąć...

*No, żeby to było przednie koło...*

- Pech, że akurat tylne...

- A ile to będzie kosztować?

- U-la-la! - Wacław aż nabrał rumieńców.

- Dobra... rób pan... - Uciąłem te spekulacje, bo kątem oka dostrzegłem, że jeden z jego "uczniów", który do tej pory był, aż podejrzanie cichy, nagle zdawał się nosić cechy posiadania myśli. Wyciągnąłem rękę i pomachałem przedramieniem Wacława. Szybkim krokiem oddaliłem się w stronę wyjścia, ale i tak nie uszła mojej uwadze salwa śmiechu, która przetoczyła się po warsztacie. Niewątpliwie "cichy" stracił dziewictwo.

<u>Wcześniej, ale mniej wcześniej...</u>

- Widzisz pan, to nie jest taka prosta sprawa.

Ja stałem, jak kołek i wpatrywałem się w gąszcz przewodów w rozdzielni elektrycznej. Starałem się wyglądać godnie i przytakiwałem, ilekroć zdanie, które wypowiadał Antonio, z firmy Antonio Elektric, tak!, z "c" na końcu, przerywane było pauzą. Teoretycznie był on Włochem. Miałem jednak co do tego pewne wątpliwości. Twarz miał wprawdzie ogorzałą, a wypowiadane słowa miały specyficzną melodyjność, ale całość nie sprawiała wrażenia oryginału, a jedynie nieudolną podróbkę. Najbardziej zaś podejrzane były plamy po sosie pomidorowym, które każdy prawdziwy Italianiec powinien posiadać - tutaj wyglądały, jakby ktoś je nakładał pędzelkiem, a nie w klasyczny, kapiący sposób.

- To stary budynek. A tu jest wszystko w porządku. - Mówiąc to, przejechał końcem śrubokręta po główkach bezpieczników. Usłyszałem delikatne bzyknięcie i z przerażeniem spostrzegłem, jak dotychczas pokręcone włosy Antonia, zaczynają się prostować. Usta mu się otworzyły, jakby nabierał powietrza, na co najmniej kilka dni na zapas. Wystrzelił korek, a mój elektryk zabujał się i powrócił do naszego świata.

- O jebany... – wyszeptał, zerkając podejrzliwie, acz z wyraźnym szacunkiem, na jeden z bezpieczników. Po czym poruszał głową na boki i sprawdził otwieranie i zamykanie się oczu. - Sam pan widzisz. Tu wszystko działa...

- No widzę. To, czemu nie mam światła?

- Nie wiem... Może coś wlazło do którejś skrzynki? Coś, gdzieś nadgryzło. Diabli wiedzą.

- No to, co robimy? Lubiłem mieć światło.

Antonio podrapał się fachowo w głowę.

- No trzeba wszystko przejrzeć...

- No to przeglądajmy! Nie czekajmy!

- Panie... To wielki dom, to trochę zajmie... Może w przyszły piątek będę mógł przyjść, ale nie wcześniej... To będzie ze dwa dni roboty!

- Ale dzisiaj jest wtorek, co ja mam robić przez dwa tygodnie?

- A rób pan, co chcesz. O! Piękny świecznik pan masz, korzystaj pan! - Wskazał na złocony XVIII wieczny kandelabr, który z Katarzyną zakupiliśmy podczas wycieczki do Włoch. - Będzie nastrojowo... - Uśmiechnął się dwuznacznie i trącił mnie łokciem.

- Moja żona zmarła sześć dni temu... – odparłem grobowo.

- Aaa... Nie wiedziałem. - Spłoszył się Antonio. - Proszę wybaczyć...

- Nieważne... Kiedy pan będziesz?

- Chcesz pan znać prawdę, czy wolisz się pan łudzić?

Tak. To były ciężkie dwa dni. Zamyślony, próbując jakoś zaplanować sobie, jak przetrwać przez "dwa-do-trzech-tygodni" bez samochodu i bez światła, wylądowałem w kuchni. Odruchowo otworzyłem drzwi od lodówki i zaskoczyłem się, widząc, że akurat tutaj jest jasność.

*Co za sprytne gryzonie, do jedzenia to sobie zostawiły podświetlenie, no!*

Spojrzałem na półeczkę, na której były ustawione różnokolorowe opakowania z kocim żarciem i dopiero wtedy przypomniałem sobie o Gabo. Prawdę mówiąc, nie widziałem go od kilku dni... Wypakowałem więc porcję "Tuńczyka w galarecie z witaminami i kwasami Omega3, po których twój kot, będzie mruczał!" do szklanej myszy, czyli kociej miski, wystylizowanej na pędzącego gryzonia. Tak, Katarzyna miała takie pomysły.

- Kici, kici, kici...

Krążyłem z tą papką po całym domu, zaglądając we wszystkie znane mi kocie kryjówki. Nigdzie go jed-

nak nie było. Ostatecznie wylądowałem w salonie.

- Zgłodnieje, to się znajdzie... - Słowa te wypowiedziałem przesadnie głośno. Cisza. Zero reakcji. Odstawiłem więc miskę na stół i opadłem na fotel.

Następne co pamiętam, to to, że siedzę w piwnicy, w moim salonowym fotelu. I jest kurwa ciemno! I jest kurwa, strasznie! Co tu się w ogóle dzieje! Chyba z dziesięć minut siedziałem nieruchomo, łapiąc powietrze przez zaciśnięte zęby. Gdy już odrobinę doszedłem do ładu ze świadomością, rozejrzałem się po okolicy. Tak, to była moja piwnica, nade mną był salon, a pomiędzy - masywna, drewniana podłoga. W której ktoś wyszarpał dziurę? Belka mocująca, gruba chyba na dziesięć centymetrów, była poszarpana. Stałem w ciemnościach, więc nie widziałem dobrze, ale przecież to niemożliwe, aby taki kawał dechy pękł sam?! Wstałem. Chwilowo na więcej nie starczyło mi odwagi. Po kilku minutach poczułem, jak moje buty robią się wilgotne. Skąd tu u licha tyle wody? Włącznik do światła, które i tak pewnie nie działało, był przy samym wejściu. Czekała mnie więc wątpliwa przyjemność brodzenia po omacku. Wyobraźnia nie pomagała, więc byłem gotów na atak rekina płytkich wód w każdym momencie. Szczęśliwie dobrnąłem do brzegu, wskoczyłem na pierwszy stopień i sięgnąłem do włącznika. Nawet nie zdążyłem dygnąć, kiedy piwnica rozbłysła elektryczną poświatą. Dostrzegłem jedynie zalaną podłogę i strzępki kabli dyndające w wodzie. Gdybym pstryknął światło  krok wcześniej, tańczyłbym hu-la, w środku parującego, piwnicznego oceanu...

Strużki potu spływały po moim czole. Słyszałem swój oddech, czułem bicie serca. Prawa dłoń zaciśnięta na zaufanym kominkowym pogrzebaczu, a cała moja postać wtuliła się we wnękę sypialnianej szafy. Czekałem na jakikolwiek szelest, skrzypnięcie... Cokolwiek, co pozwoliłoby uwolnić furię czterdziestopięcio latka, z nadwagą i wrodzonym wstrętem do jakichkolwiek aktywności fizycznych. Tak, szanse nie wyglądały za różowo. Moją jedyną nadzieją było zaskoczenie. Zaskoczenie i łut szczęścia - straż przyboczna niedorajdy.

Przeszedłem co najmniej trzy stany przedzawałowe, gdy zegar w głębi domu wybijał świeżą godzinę. Jednak nic poza tym się nie wydarzyło... Ja zaś poczułem zimno, które powoli wkradało się w moje ciało. Postanowiłem więc zawiesić wojenne przygotowania i na palcach podreptałem w stronę łóżka. Zanim na nim usiadłem, dobrze sprawdziłem, czy przypadkiem nie odjadę na nim do zsypu na węgiel, bądź też w inne, równie przytulne miejsce. Wydawało się stacjonarne, ale dla pewności sieknąłem je dwukrotnie pogrzebaczem. Dalej było tam, gdzie być powinno. Delikatnie położyłem się i głośno odetchnąłem. Za co chwilę później przydzieliłem sobie naganę...

*Ktoś na ciebie poluje, jak na fretkę, a ty tu sobie wzdychasz, pacanie!*

Byłem okrutnie głody i nieprawdopodobnie zmęczony. Przemajaczyłem więc całą noc, wsłuchany w grające marsza kiszki. Wspaniałe uczucie, pobudzające i takie świeże, wręcz ożywcze. Zamierzałem jednak trzymać się go mocno i bez niepotrzebnych szarpnięć.

<u>Tik-tak-tik-tak, kolejny dzień zmyka...</u>

Blada poświata dnia zawitała do mojej sypialni. Ja, przytulony do pogrzebacza, niczym do pluszowego misia, oczekiwałem, że za chwilę coś się wydarzy. Zastanawiałem się, czy lepiej tu zostać, czy też ruszyć na spotkanie nieznanemu łowcy. Dom chrypiał swoją własną melodię, napędzaną podmuchami wiatru i zmęczeniem wiekowych desek, ale nic ponadto. Żadnych podejrzanych skrzypnięć bądź bezpardonowych: "*idę po ciebie*!". Ewidentnie była to przerwa w polowaniu. Postanowiłem więc wypełnić ją ciepłą jajecznicą i tostami. Rozglądając się na boki, ostrożnie, po cichutku ruszyłem schodami w dół. Kątem oka starałem się wyłapać najdrobniejszy ruch, a mój pogrzebacz wisiał nad głową, niczym samurajski miecz, w każdej chwili gotowy "rozmyślić" mojego niedoszłego oprawcę. Pokoje były jednak puste, ciche i niezmącone niczyją obecnością. Powoli, zaczynałem dochodzić do wniosku, że może to był przypadek... Może podłoga spróchniała sama, może rura pękła ze starości, a może kable akurat wpadły do tej wody... Sporo tych może... Uspokoiłem się jednak trochę, choć należy przyznać, że wizja ciepłego śniadania, również się do tego przyczyniła. Niemalże z animuszem wkroczyłem do kuchni...

Prawa noga odjechała zupełnie wbrew mojej woli, lewa starała się pozostać tam, gdzie była, ale pociągnięta siłą ciała, które otrzymało nagle niezwykłą kinetyczną lekkość, szybko dołączyła do prawej. Obie próbowały zawzięcie utrzymać mnie w pozycji wertykalnej, nie znalazłszy jednak żadnego podparcia, poddały się woli prawa powszechnego ciążenia. Reszta mojego ciała również nie była zdolna do jakieś dłuższej walki i po chwili sunąłem kuchenną podłogą, prosto ku linii szafek. Metalowe garnki, wiszące dotychczas spokojnie nad kuchnią, zagrały metaliczną melodię, gdy moja głowa z całym impetem wbiła się w drewniane drzwiczki. Przez chwilę walczyłem ze sobą, aby pozostać świadomy, ale wizja odpłynięcia w różową błogość, okazała się nadto kusząca...

Nie wiem, ile czasu byłem nieprzytomny. Zastanawiałem się, czy nawet nie byłoby lepiej, pozostać jeszcze chwilę pomiędzy odświętnymi talerzami a kolekcją sosjerek. Czułem jednak ból w nodze, który skutecznie uniemożliwiał mi utrzymywanie błogo-stanu. Postanowiłem się wyszarpać z uwięzi... Po chwili siedziałem na podłodze. Prawa kostka była spuchnięta, a w głowie waliło sto diabłów, uzbrojonych w tysiąc takich małych bębenków, do tego, na pewno, podskakiwały i tupały. No musiały tupać... Podłoga zalana była czymś oleistym, na czym, bez wątpienia, odbyłem podróż ku mojemu obecnemu miejscu. Z trudem odwróciłem głowę w stronę okna, właśnie w chwili, gdy ostatnie promienie słońca żegnały się z dniem.

- O Jezu.... - jęknąłem. A dłonie wyszukiwały kolejnych pokiereszowanych miejsc w moim ja. Wydawało się, że reszta jest w zadowalającym stanie, postanowiłem więc się podnieść, ale okazało się to zadaniem niewykonalnym. Dłonie nie znajdywały podparcia na śliskiej podłodze, a nogi, były jak z waty. Westchnąłem i położywszy się na brzuchu, powoli posuwałem się po kuchennej podłodze. Dopełzłem niemalże do połowy i wtedy przed moimi oczami ukazała się cała masa małych śladów... Wtedy też, dostrzegłem, że coś się poruszyło przede mną. Coś, co bez wątpienia cały czas tam było, siedziało w mroku korytarza i czekało na mnie. Teraz postanowiło zdradzić swoją obecność. Nadludzkim wysiłkiem dźwignąłem się na łokciach i dostrzegłem w progu...

- Gabo! - Ależ ucieszyłem się na jego widok. To tylko on, to tylko mój kot.

Gabo z gracją podszedł do jednej z szafek i wskoczył na nią. Teraz dopiero dostrzegłem, że poustawiane są na nich plastikowe butelki, małe garnki, szklanki i inne przedmioty, których, z mojej obecnej podłogowej pozycji, nie byłem w stanie zidentyfikować. Wszystkie one tworzyły pewnego rodzaju rząd, bardzo nierówny, chaotyczny, ale jednak prowadzący dokładnie od miejsca, w którym stał Gabo... Kot wspiął się na tylne łapki i całym ciężarem swojego ciała opadł na pierwszy element tej dziwnej układanki. Butelka padła na stojącą za nią, ta zaś na kolejną, i kolejną. Garnki brzdękały, przedmioty uderzały o siebie, a ja zafascynowany patrzyłem, jak ten niezwykły mechanizm zaczyna się rozpędzać. Dźwięk tej wędrówki zaczynał narastać, pęcznieć, aż pobiegł gdzieś wyżej. Coś załoskotało, a następnie strzeliło.

- Aaa! - Ryknąłem, gdy przed moimi oczami zamajaczył tasak do mięsa. Gdyby, gdyby!, opadł kilka centymetrów bliżej, nie miałbym nosa, albo połowy twarzy... Powoli podniosłem wzrok na szarego kota, który spokojnie stał, nie dalej, jak metr ode mnie. Jego wzrok mówił wszystko. Mój łowca właśnie się zaprezentował.

Pół godziny później siedziałem w salonie. Z niewiadomy mi przyczyn, mój kot postanowił pozwolić mi wyjść z kuchni. Tak samo niespodziewanie, jak się pojawił, zniknął w kroczącym mroku wieczoru. Pokiereszował mnie zacnie, nie za bardzo miałem możliwość chodzenia, a głowa ciążyła niczym wypełniona ołowiem, ale chociaż oddychałem. Bez wątpienia również, to wszystko, co doświadczyłem dotychczas, było pewnym rodzajem rozgrzewki. Rozprostowanie łap, a może rozdrażnieniem ofiary? Trzeba mu przyznać, że to drugie, udało mu się wyśmienicie... Teraz jednak moja kolej - duma zgubi tego kocura!

*Pewnie myśli, że... O czym ja w ogóle ... Przecież to tylko głupie zwierze! Na takich jak on...*

Powiedzmy, że poderwałem się z miejsca. Faktycznie, byłem w stanie jedynie powolutku kuśtykać w kierunku dębowego kredensu. Dopadłszy go, zacząłem macać jego górną krawędź, szukając miejsca, gdzie trzymaliśmy kluczyk do metalowej skrzyneczki.

- Ha! Jest! - Wyrwało mi się ust, gdy dłonie natrafiły na znajomy kształt. Otworzyłem szufladę w kredensie i moim oczom ukazała się oczekiwana skrzynka. Przekręciłem kluczyk i podniosłem wieczko. Uśmiech, tak szybko, jak zawitał na moje usta, tak samo szybko z nich zniknął. W środku były dwa rzędy kul, kaliber 5.32, krzaczasty wycior i buteleczka z oliwą. Zaś w samym jej centrum, zamiast Smith&Wesson model B, leżała pluszowa mysz. Poczułem, jak przez moje plecy przebiega stalowo zimny dreszcz.

- Jak to jest w ogóle możliwe... - wyszeptałem.

Zegar w holu wybił godzinę dziesiątą. Siedziałem skulony za kanapa, dzierżąc przyjacielski pogrzebacz. Oprawcy nie widziałem od kilku dobrych godzin, ale nie wątpiłem, że przygotował coś specjalnego na noc.

*Co zrobić, co zrobić*? - nieustannie zadawałem sobie to pytanie. A moje oczy sondowały ciemność w poszukiwaniu najdrobniejszego ruchu. Wtedy też przyszło olśnienie.

*Tak! Tak! Oczywiście! Telefon!* - W środku poczułem nagły przypływ energii. - *Musi tu gdzieś być! Wczoraj zostawiłem go w salonie, zaraz przed tym, jak odwiedziłem piwnicę. On musi... Jest! Moje ma-*

*leństwo leży sobie spokojnie na podłodze.*

- Tego nie przewidziałeś co? - Ryknąłem do wnętrza domu. - Zaraz przyjdzie tu ktoś, kto dobierze się do tego twojego zapchlonego tyłka!

Palce przelatywały przez poszczególne wpisy w książce, aż natrafiły na poszukiwane hasło - Maurycy.

- No odbierz... kurwa... odbieraj! - szeptałem, wsłuchując się w pojedyncze piknięcia w słuchawce.

- Halo? - Odezwał się zaskoczony głos.

- Maurycy... Eee... Znaczy... pan Maurycy?

- Taaak... - Głos dalej był ostrożny.

- Dzień dobry, znaczy, dobry wieczór.

- No na razie to średnio dobry...

- Przepraszam za godzinę, ale to awaryjna sytuacja...

- A co ja jestem, pogotowie? Dzwoń pan do szpitala...

- Nie rozumie pan... To dotyczy kota...

- To dzwoń pan jutro... - Krótkie piknięcie wyznaczyło koniec rozmowy.

Co za cholerny pacan! - Przeleciało mi przez myśl, gdy ponownie wybierałem numer.

- Panie! - Warknęło w słuchawce.

- Niech pan da mi minutę. Płacę pięć stów! - Zmieniłem taktykę rozmowy. W słuchawce brzmiała głucha cisza. - Jest pan tam, panie Maurycy?

- No jestem, a pan masz jeszcze trzydzieści sekund.

- Aha! Jasne. Potrzebuję, aby pan tu przyjechał i zabrał mojego kota. Tyle! - Postanowiłem nie nakreślać dokładnie sytuacji, gdyż doszedłem do wniosku, że mogłoby to być opacznie zrozumiane. Zwłaszcza moje zdrowie psychiczne mogłoby zostać poddane osądowi.

- Za pięć stów? - Upewniał się głos w słuchawce.

- Za tysiąc! - nie czas teraz na oszczędzanie - Gotówką! Tylko pan przyjedź. I go pan złap.

- Chcesz mi dać tauzena za zabranie jakiegoś głupiego kota? To jakiś żart?

- Nic z tych rzeczy. Mówię zupełnie poważnie. Zabierasz go, dostajesz okrąglutki tysiączek.

Ponownie w słuchawce zawitała cisza, zaburzana jedynie elektronicznymi szmerami na linii.

- Gdzie pan mieszkasz?

- Na Akacjowej, trzynaście. Postąpiewicz Michał, kiedyś zabraliśmy od pana ze schroniska kota, taki mały...

- Taa.... - przerwał mi Maurycy - taki mały szary skurwiel... Który już dawno temu powinien gryźć piach, ale się pana żona uparła...

- Pamięta go pan? To było, chyba, z osiem lat temu... Zresztą, to chyba nieistotne...?

- Zupełnie nie. Zresztą, tym razem, już się nie wywinie.

- Tylko proszę wejść od tyłu. Ja jestem unieruchomiony w salonie i nie będę w stanie otworzyć drzwi. Z tyłu jest takie małe okienko, które można otworzyć z zewnątrz i sięgnąć do klamki. *Lepiej się nie kręcić niepotrzebnie po domu.*

- Opanuj pan niepokój! Kawaleria już jedzie. Siedź pan i licz pan papierki, zaraz będę po kiciusia!

Czekałem. Minuty, kwadranse, godziny... Zegar wybił i dwunastą, i pierwszą, i drugą. Księżyc przestał oświetlać salonowe okno i teraz zaglądał przez kuchenny świetlik. Do tego za oknem rozszalała się burza. Tak oczekiwany Maurycy się nie pojawił, a jego telefon pozostał głuchy.

*Na nikogo nie można już liczyć. Nawet na szmatławego hycla...* - Przyznałem w myślach z rozgoryczeniem.

Miałem za to czas na przemyślenie tego i owego... Fakt, nie lubiliśmy się z Gabo. Może nie dawałem mu jeść i raczej zganiałem go, gdy ten wylegiwał się na sofie. Zresztą... Gabo był oczkiem w głowie Katarzyny, nigdy nie czułem, że powinienem się jakoś nim zajmować. Był dla mnie gubiącym kłaki, wypełniaczem otoczenia - niczym więcej. No ale przecież, jakoś strasznie mu nie przeszkadzałem? Był on i byłem ja. Tyle! Więc co się nagle z nim stało? Czego on ode może chcieć?

Wtedy w głowie zapaliła się czerwona lampka.

*Czyżby wiedział... No ale jak? Nie było go przecież... Raczej, chyba... Kurwa! A może? Czy on się...*

Wnioski przeraziły mnie. Poczułem niewymowną potrzebę ucieczki. Koniec z tym siedzeniem i czekaniem na bóg-wie-co... Będąc statycznym, jestem za łatwym celem. A czort wie, co też to kocisko wymyśliło... Postanowiłem więc uciec z domu.

To się może udać... Na korytarz, do pokoju z pianinem, potem do drugiego korytarza... Nie... To za długa droga... To może, na tył? Obok schodów na piętro, do sieni, i w ogród... Tak! Byleby cicho...

Ruszyłem. Starałem się nie odrywać stóp od ziemi. Raz, że w ten sposób mogłem jakoś iść ze skręconą kostką, dwa, że wydawało mi się, że w ten sposób poruszam się bardziej bezszelestnie. Wyszurałem więc na korytarz i dokładnie w trzeciej sekundzie mojego marszu w ciemności, przywaliłem zdrową nogą w coś ciężkiego. Poczułem, jak napływają mi łzy do oczu.

- Jeezuuu... - wyszeptałem. No dokładnie małym palcem! Jak nic go złamałem. Rany boskie, jak to boli! Zabiję tego kot...

- Rozszarpię cię na kawałki! - Wydarłem się na całe gardło, trąc dłonią bolącą stopę.

I jakby na zawołanie, przede mną ukazała się szara postać. Stał przede mną, a właściwie siedział na tylnych łapach. Po chwili podniósł przednią łapę i wskazał nią na mnie. No kurwa wskazał!

- Co to miało znaczyć?! - Zasyczałem w stronę Gabo. - Grozisz mi?

No przegiął! Po całej swojej kociej linii. Coś po prostu we mnie pękło. Nie będzie mi przecież groził kot! To tylko kot!

Zacisnąłem dłonie na moim metalowym poskromicielu futrzanych wichrzycieli i ruszyłem w ciemność za nim.

Teraz...

Detektyw Majchrzewski przyklęknął nad wykręconym ciałem. Końcem długopisu odgarnął włosy, spod których wychynął nabrzmiały siniak wielkości sporej śliwki.

- I co? - Zapytał się, przeżuwający hot-doga oficer Redman.

- Ja nie wiem, jak ty możesz jeść? - Nie odrywając wzroku od denata, zapytał Majchrowski.

- A co? - Zdziwił się Redman. - Głodny jestem.

- I to jeszcze parówkę...

- Dobra jest. Sam zobacz, z podwójnym ketchupem... - Podsunął mu ją pod nos.

- Zabierz to. Kurwa, kapiesz...

- No chyba... - Redman spojrzał w kartę, którą trzymał w drugiej dłoni. - Michał się chyba nie obrazi... - Teraz się uśmiechnął.

- Idź w cholerę. Przynajmniej nie przeszkadzaj.

- Dobra, już dobra. Zjedzony, nie płacz.

Majchrzewski uważnie oglądał całą leżącą postać. Następnie ostrożnie stawiając stopy, wszedł na piętro.

- Krzysiek. Chodź tu! - Krzyknął z góry. Redman niechętnie poczłapał na piętro.

- No sam zobacz... - Wskazał na zgniecioną kupkę plastiku.

Redman nachylił się nad znaleziskiem.

- Jakaś kocia zabawka, z kółkami, chyba... I co z tego?

- Nie wydaje ci się to wszystko dziwne? Gość jest pokiereszowany, z guzem na głowie, który na pewno nie powstał podczas lotu nad schodami. Ma skręconą nogę i krwawe ślady na skarpecie. Do tego pogrzebacz... Ewidentnie się przed czymś... - Majchrowski się zamyślił - bronił?

- No i co z tego?

- Ma jeszcze podrapaną twarz. Ale żadnych śladów na dłoniach... - Majchrzewski mówił jakby do siebie. - Czyli się nie bronił...

- Czyli już wtedy nie żył. - Wtrącił się Redman.

- No właśnie... Kuchnia zalana czymś śliskim, z tasakiem na środku podłogi. Brak prądu w całym domu... Samochodu też nie widzę...

- Może stoi z tyłu?

- Może... Ale to jakoś się nie klei... Bronił się, bo miał pogrzebacz, no ale się nie bronił. Zresztą... zazwyczaj wali się po twarzy, no brzuchu, ale nie po kostkach, palcach... Wszedł po coś na górę i poślizgnął się na zabawce... I spadł... I wtedy coś go podrapało... No, nie jest to dziwne? Zresztą... Pomijając wszystko inne, ile to minęło czasu, odkąd tu byliśmy? Tydzień temu, dwa, trzy?

- Czekaj, sprawdzę... - Redman ponownie zerknął na kartę. - No dwa.

- I jego żona, leżała prawie dokładnie w tym samym miejscu.

- No niby... Ale ona sturlała się z tych schodów. Cała była poobijana...

- Czekaj, czy oni nie mieli kota?

- No był, taki szary. Spory, z tego, co pamiętam... No ale, że co, z tym kotem? - Redman zmrużył oczy i uważnie spoglądał na Majchrowskiego.

- Nie wiem... Sam nie wiem... Po prostu czuję, że tu jest coś nie tak. Tylko nie wiem co.

- To co? Wzywamy chłopaków? Przewiskają chałupę, co?

Majchrowski  przez chwilę gapił się w ścianę, jakby nie dosłyszał słów partnera. Po czym schylił się i podniósł fragment małej plastikowej zabawki. -  "... zemsta Salaza..."

- Co? - zdziwił się Redman.

- Tu tak pisze. To chyba jedna z tych figurek z filmu. To chyba było z Johnym Deepem?

- Piraci z Karaibów? A jaki to ma związek?

- Żaden. Raczej żaden... Dobra... Wzywaj chłopaków.

Gabo spał na swoim posłaniu, wsłuchany w opowieści kropel deszczu, rozbijających się o dach. Swoje legowisko musiał przytaszczyć z honorowego miejsca, jakie zajmowało przy kominku w salonie, aż na mały stryszek. Tutaj jednak czuł się bezpiecznie. Pomieszczenie było nie wiele większe od niego, więc nikt nie miał możliwości tu wejść. Tutaj było tylko to, co on sam uznał za stosowne, lub ważne. Obok kocyka leżała jego ulubiona czerwona piłeczka oraz nadgryziony but, z czasów, gdy był jeszcze małym kociakiem. W kącie stała miska upiększona kocimi podobiznami, a obok niej leżał fragment firanki, który własnoręcznie, czy też własno-pazurze wyszarpał z łazienkowego okna. Te wszystkie fragmenty jego historii przypominały mu czasy, kiedy był najszczęśliwszą istotą na ziemi. Tą, którą przestał być, dwa tygodnie temu...

Los postawił na jego drodze Katarzynę w momencie, kiedy tego najbardziej potrzebował. Doskonale zdawał sobie sprawę, co by się z nim stało, gdyby pozostał, chociaż chwilę dłużej w schronisku prowadzonym przez Marcela. Bez wątpienia uratowała mu życie. Dała mu jednak o wiele więcej. Zupełnie niechcący wlała w niego setki historii, które sama uwielbiała. Zawsze, gdy wylegiwał się na jej kolanach, słuchał, jak cicho snuje mu do ucha kolejną opowieść; o niewdzięcznym kochanku, o ukrytych skarbach, o zatraceniu, o miłości, o zemście...

Tamtego dnia, gdy patrzył ze swojej skrytki na leżącą u skraju stopni schodów Katarzynę, zrozumiał, dlaczego to wszystko usłyszał. Wiedział też, co dokładnie musi zrobić, nawet jeśli miałby przypłacić to życiem. Był jej to winien!

<u>Sam jestem ciekawym, a więc wróćmy jeszcze na chwilę...</u>

Marcel podjechał pod dom na ulicy Akacjowej. Popatrzył w ciemne niebo i z niesmakiem splunął przez okno. Zanosiło się na deszcz... Wychodząc z samochodu, zabrał jeszcze machajkę - specjalną linkę przytwierdzoną do metalowego kija, która służyła do łapania większych psów. Wprawdzie narzędzie to mogło troszkę uszkodzić "pacjenta", ale klient nie brzmiał tak, jakby zależało mu bardzo na tym zwierzęciu. A znacznie uprości to sprawę... Za to na pewno, nie uprościły zadania krzaki za domem. Rozczapierzone tuje dzielnie broniły dostępu do ogrodu wszelkim intruzom i Marcel sporo się napocił, zanim udało mu się dotrzeć poza ich linie. Tutaj spotkała go niespodzianka. Tuż za nimi, stał poszukiwany. A właściwie siedział na tylnych łapach i... tak, jakby, wskazywał przednią łapką na niego. Było dość ciemno, więc Marcel nie był pewien tej postawy, ale wydawało mu się...

- Dobry kiciuś... - Wycharczał z siebie. Odchrząknął i ponowił próbę swoim bardziej "anielskim głosem". - Siedź spokojnie, wujek tylko cię capnie i będzie po sprawie.

Zrobił krok i poczuł, że w coś wpadł. Coś bagiennego, coś jakby ktoś, rozluźnił ziemię, a następnie wpompował w nią całą masę wody. Taka standardowa pułapka Pigmejskich wojowników, którzy z racji swojego wzrostu, lubili skracać swoich przeciwników, przed rozpoczęciem starcia.

- Co jest do kurwy nędzy... - wysyczał Marcel, próbując wesprzeć się na dłoniach i wyciągnąć z tej błotnistej melasy. Gabo w tym czasie sięgnął za siebie i chwycił w zęby mały woreczek. Podszedł odrobinę w

stronę Marcela i szarpną głową ku górze, uwalniając zawartość pakunku na mokrą ziemię.

To był drugi punkt, z małej, ale jakże wojowniczej księgi pod tytułem: "Pigmejska sztuka wojny", który brzmiał: *"Skoro przeciwnik jest sprowadzony do parteru i unieruchomiony, to może w ogóle nie warto się bić."*

Na ziemi rozbłysnął czerwony zygzak, kiedy żmija pręgowana, chluba z kolekcji Doktora Niedermajer-a pomknęła ku zaskoczonej ofierze. Marcel zdążył tylko podnieść głowę w stronę Gabo i wyszeptać.

- Ale jak ty to...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

purpur, dodano 05.12.2017 15:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.